

214

Aniu, dasz się lubić

SĄ książki, do których się wraca. Najczęściej wcale nie te, zaliczane do arcydzieł światowej literatury, które przeczytać wypada lub wręcz trzeba. Książki może mniej wybitne, lecz mające w sobie coś, co poprawia nastrój, pozwala oprzeć się wątpliwościom, odrywa od smutków i niepokojów codzienności. To chyba dzięki nim książka zyskała miano przyjaciela człowieka.

Do takiej właśnie literatury należy „Ania z Zielonego Wzgórza”, napisana przez Lucy Maud Montgomery przed z górą osiemdziesiąt laty. Zna ją miliony czytelników, a raczej czytelniczek na całym świecie. I choć jej akcja dzieje się dawno, dawno temu, kolejne wydania (także u nas w Polsce) natchmiast znikają z księgarskich półek.

(Dokończenie na str. 2)



Sławomira Kozieniec w roli Ani.

Fot. Tadeusz Link

Aniu, dasz się lubić

(Dokończenie ze str. 1)

lek. Bo nie aktualność jest jej głównym walorem.

Wybierając się w sobotę do Teatru „Wybrzeże” na premierę „Ani z Zielonego Wzgórza” w adaptacji i reżyserii Ireny Byrskiej miałam te same wątpliwości, które trapiły i inne najzupełniej dorosłe miłośniczki książki kanadyjskiej pisarki — czy adaptacja jest na tyle porywająca, aktorzy tak przekonujący, że to spotkanie z rudowłosą dziewczynką będzie prawdziwe.

Anię w powieści (i przedstawieniu także) poznajemy, gdy ma zaledwie dwanaście lat, na które zresztą, jak pisze autorka, nie wygląda. Tę dwunastoletnią dziewczynkę gra Sławomira Kozieniec. Gra znakomicie, tak dobrze, że po pierwszych kilkunastu minutach przestajemy się zastanawiać, ile też aktorka naprawdę liczy sobie wiosen. To wzruszająca rola, choć w drugim akcie, pani Sławomira, zachęcona

aplauzem widowni, zaczyna nieco szarżować. Ale wierzymy w tę postać od początku do końca. I to jest właśnie magia teatru.

Czar jednak pryska, kiedy pojawia się powieściowa przyjaciółka głównej bohaterki — Diana. Tę rolę wykonuje Maria Mielnikow — piękna, dojrzała kobieta, robiąca z siebie na scenie dzidzie-piernik. Jeszcze gorszy, na szczęście w epizodycznej roli, jest Przemysław Bia-biarz jako Gilbert Blythe. Obie, bar-dzo liryczne, sceny w jego wykonaniu wzbudzają na widowni gromki śmiech. Moim zdaniem, są to dwie pomyłki obsadowe.

Inaczej jest w przypadku pozostałych ról. Świetni są zwłaszcza Halina Winiarska i Jerzy Kiszkis — sceniczne rodzeństwo Cuthbert.

Bardzo dobrze do atmosfery przedstawienia pasuje scenografia Lilliany Jankowskiej — tradycyjna, kolorowa, ciepła. Podobnie jest z muzyką Andrzeja Głowińskiego.

Pani Irena Byrska rozpiła swą adaptację opasłego tomu powieści na zaledwie 9 postaci i trzy akty, wybierając jednak wszystko to, co najważniejsze; nie roniąc nic z atmosfery książki, nie gubiąc jej poczucia humoru i zachowując nienatrzetny dydaktyzm. Nieco słabszy jest, moim zdaniem, trzeci akt. Tu reżyserka jak gdyby nieco zwątpiła w inteligencję widza i błyskotliwy w dwóch pierwszych częściach dialog traci lekkość, zmieniając się w przydługie wywody pedagogiczne.

A przecież mimo to ta „Ania z Zielonego Wzgórza” da się lubić, ma dużo, bardzo dużo ciepła, ma wdzięk i urodę czegoś, co przemienęło, lecz pozostaje w dobrej pamięci. Widzowie na przemian śmieją się i ukradkiem wycierają oczy. A po opadnięciu kurtyny czują się nie tylko zrelaksowani. Być może chociaż przez chwilę przyznają, że „są prawdy i wartości, które się nie starzeją”.

GRAŻYNA ZUBRZYCKA